

Wybranek morza

Andrzej F. Paczkowski

TOM I



Tajemnica
latarni morskiej

Wybranek morza

Andrzej F. Paczkowski

**Tajemnica latarni
morskiej**

Tom I

© Copyright by

Andrzej F. Paczkowski & e-bookowo
Grafika na okładce: Robert Zajączkowski
Projekt okładki:
Robert Zajączkowski & e-bookowo

ISBN 978-83-7859-261-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Prolog

Niemalże przez całe swoje życie panicznie bałem się morza. Wzięło się to z tragedii mającej miejsce dawno temu. Od tamtego momentu znienawidziłem widok głębokich wód. Nie chciałem kolejnym razem stać się świadkiem kolejnego nieszczęścia. Nie wiedziałem tylko, że ból, jaki morze dawało, miał dopiero pokazać swoje pazury i zatopić je w mojej poranionej duszy.

Morze było ciężkim przeciwnikiem. Kiedy coś dawało, żądało za to wielkiej zapłaty.

Lub bezwstydnie ci wszystko odbierało...

Część I Wynurzenie

Rozdział 1

Tragedia na morzu

Kiedy miałem siedem lat, pierwszy raz pojechaliśmy z rodziną na wakacje nad morze. Jeszcze wtedy nie poznaliśmy jego wielkiej, niszczącej siły. Wtedy morze fascynowało nas jak każdego zwykłego człowieka, wychowanego w centrum Polski. Mieliliśmy szczęście, my Polacy, że mamy morze. Może trochę zimne i niezbyt błękitne, ale to zawsze jednak było morze, dające ryby, pieniądze i możliwości.

Chodziłem do pierwszej klasy szkoły podstawowej w Warszawie. Mama przebywała w domu, tata zaś prowadził jeden z najlepszych warszawskich teatrów. Od małego rodzina uczyła mnie respektu do sztuki. W domu często rozbrzmiewała muzyka klasyczna, schodzili się sławni i znani ludzie, ponieważ ojciec posiadał wiele znajomości. Przyzwyczailem się do życia w dobrobycie. Nigdy nie zaznałem w swym krótkim życiu zła, rodzice dobrze mnie chronili, trzymając pod swymi ochronnymi skrzydłami, gdzie było mi dobrze.

Byłem jedynakiem. Musiało ubiec wiele wody w rzekach, zanim wreszcie przestałem tęsknić za rodzeństwem, którego nigdy nie miałem. I którego nie będę miał.

Życie miało mi upłynąć w tęsknocie za bratnimi duszami, niestety. Miało mi też dać dar, jakiego nie otrzymał nigdy dotąd żaden żyjący człowiek...

Uczyłem się chętnie, do szkoły chodziłem z radością, dźwigając ciężki plecak pełen książek, kredek i zeszytów. Nauka nigdy nie sprawiała mi większych trudności. Była mi potrzebna do życia, jak tlen do oddychania. Z początku dzieci śmiały się ze mnie, dokuczały mi i nazywały kujonem. Ale kiedy zrozumiały, że nie jestem taki jak myśleli, polubili mnie a nawet pomiędzy nimi zaczęło się współzawodnictwo, kto ze mną danego dnia będzie siedział w ławce. Najwięcej z nich pragnęło mieć mnie przy boku w czasie kartkówki czy sprawdzianu. Ponieważ im pomagałem. I robiłem to chętnie. Najpierw, taka była zasada, załatwiałem swoje, pisałem pospiesznie odpowiedzi a potem zajmowałem się kartką kolegi czy koleżanki, w zależności kto danego dnia przy mnie siedział.

To współzawodnictwo nie za bardzo mi odpowiadało. Upatrzyłem sobie jednego chłopaczka, najmilejszego z całej klasy i to jemu dawałem najczęściej zielone światło. On miał prawo siedzieć przy mnie zawsze, jego obecność była u mnie nawet żądana. Nazywał się Łukaszek, pochodził z biednej rodziny jakich w Warszawie niemało, i czasami było mi go żal. Pomagałem mu, on pomagał mnie i tak, od pierwszej klasy nawiązała się pomiędzy nami silna, nieprzerywalna więź mająca trwać do końca naszego życia. Łukaszek jeszcze nie raz pojawi się w całej tej opowieści, bowiem w przyszłości będę potrzebował jego pomocy.

Tymczasem w szkole dochodziło do nieprzyjemnych

incydentów:

- Dlaczego siedzisz z tym głupim Łukaszkiem?
- Masz lepszych znajomych niż on!
- Olej go, to biedak!

Dzieci potrafiły być nieprzyjemne, egoistyczne i wredne. Mówiły swoje bez ogródek, raniły bez myślenia, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Widziałem ból w oczach Łukasza, kiedy przypadkiem dochodziły jego uszu owe głupie i kąśliwe uwagi. Czasami podchodził i mówił posepnie:

- Przecież nie musisz ze mną siedzieć...

I miewał wtedy takie smutne oczy!

– Muszę! Ty jesteś moim przyjacielem. Oni, nie! – Mówiłem z pewną zaciętością w głosie. Była to prawda, jednak często zmuszony byłem przekonywać go o tym. Czasami zdawało mi się, że ma zbyt niskie mniemanie o sobie a to dla nikogo nie mogło wróżyć nic dobrego. Człowiek musi w siebie wierzyć. Wiara we własne siły jest najważniejsza. Tego uczyła mnie matka.

Większość dzieci pochodziła z bogatych polskich rodzin, ich rodzice biznesmeni nie mieli problemów z pieniędzmi i łożyli na szkołę nieziemskie fortuny. Łukaszka sponsorował jego wujek, choć zawierały się w tym tylko najważniejsze i najpotrzebniejsze rzeczy. Różnica była ogromna.

Po zakończeniu pierwszego półrocza z celującymi wynikami, rodzice powiedzieli:

– Jeżeli takie same wyniki znajdą się na świadectwie ukończenia pierwszej klasy, zabierzemy cię nad morze.

Matka z ojcem to prawdziwi miłośnicy Polski.

Z biegiem czasu, gdy coraz więcej zacząłem zwiedzać kraj, zrozumiałem ich miłość do naszego pięknego kraju. Przecież było co podziwiać. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego wraz ze zmieniającym się światem, przyszedł trend na zwiedzanie obcych, dalekich krajów. Wszyscy zachwycają się jaka to piękna jest Francja, Włochy, Afryka, krytykując przy tym szary polski świat, nie mający czego im pokazać, zaoferować. Byłem innego zdania. Jak pisze sam Sienkiewicz w jednej z najbardziej znanych przez dzieci noweli, „swego nie znacie, cudze chwalicie”. Było w tym wiele z prawdy! Bo mieli rację ci wszyscy zachwycający się obcymi krajami, ale, w jakże pięknym państwie przyszło nam żyć, to już rozumiał mało kto!

Jak dotąd każdego roku wyjeżdżaliśmy na Mazury, spędzaliśmy tam dwa długie tygodnie. Do dziś mieszka tam babcia, matka ojca, więc to z jej powodu tak często się tam pojawialiśmy. Na ferie zimowe jeździło się do Zakopanego, bo nie ma chyba piękniejszego miejsca na ziemi. A podczas przedłużonych weekendów zwiedzało się kolejne miasta Polski, z czego naszym ulubionym był oczywiście Kraków.

Mieszkaliśmy w ogromnym piętrowym domu, na obrzeżach miasta. W domu, jak daleko sięgam pamięcią, nieustannie odbywały się wielkie przyjęcia. Tata posiadał mnóstwo znajomości, dlatego też pojawiały się u nas aktorki, gwiazdy sceny muzycznej, i tak zwane grube ryby Warszawy.

Rodzice często byli zapraszani na inne imprezy, z czego oczywiście korzystali, pozycja ojca tego wymagała, jego teatr przecież był największym i najznakomitszym teatrem

w całej Polsce. To tutaj rodziły się wschodzące gwiazdy, tutaj na specjalne życzenie występowała Janda i wiele innych znanych gwiazd. Tutaj swego czasu pojawiała się największa gwiazda polskiej muzyki, Violetta Villas.

Z takich przyjęć rodzice wracali zawsze trzeźwi. Oboje nie pili alkoholu. Nie przeszkadzało im jednak, aby na naszych uroczystościach trunki łąły się strumieniami.

Rodziców dało się określić słowem: dystyngowani. I naprawdę tacy byli.

Mną zajmowała się Luba, kobieta z Ukrainy. Miała około trzydziestu lat, wyróżniała się miłą twarzą, ciepłymi oczami i gęstymi ciemno blond włosami. Oczywiście zdradzający ją akcent pozwalał od razu na rozpoznanie jej pochodzenia.

Luba przyjechała do Polski na zaproszenie ojca. Nie pamiętam dokładnie o co w tym chodziło ale dostała się tu „po znajomości”, matka jednak, i ja również, dziękowaliśmy Bogu za jej pojawienie.

– Luba spadła nam z nieba – często mawiała mama. – To prawdziwy anioł. Skarb naszej rodziny.

Szybko nauczyła się języka, byłem wtedy jeszcze mały, dlatego w wieku siedmiu lat nie mieliśmy ze sobą żadnych językowych problemów. Kochała mnie a ja kochałem ją. Moja najwspanialsza i jedyna opiekunka. Właściwie trzeba tu powiedzieć, w domu często zapominało się, że Luba była kimś obcym, ponieważ wszyscy traktowaliśmy ją jak rodzinę. Była częścią nas, czuliśmy się z nią dobrze, ona z nami też. Nigdy nie miała wyznaczonych granic, których nie mogła przekraczać, nie było miejsc do których nie mogłaby wejść a przy stole zawsze siedziała z nami.

Jakkolwiek rodzice obracali się w różnych kręgach społeczności, nigdy nie pozwalali na to, by w domu rządziły jakieś podziały klasowe. To nie było w ich stylu.

– Ludzie są wszyscy tacy sami – mawiał tatuś – i nie możemy ich selekcjonować jakby byli rzeczami. Przynajmniej w naszym domu wszyscy zawsze będziemy sobie równi.

Posiłki bywały wesołe. Tata często opowiadał o teatrze, komicznych sytuacjach, jakie każdego dnia miewały w nim miejsce a my zaśmiewaliśmy się do łez. Ojciec potrafił przedstawić nam niektóre sytuacje takim sposobem, że czuliśmy się tak, jakbyśmy sami brali w nich udział. Roztaczał wspaniałą, żywą aurę innego, ciekawego świata. Wtedy też postanowiłem zostać aktorem, ale jak później czas pokazał, stał się nim ktoś zupełnie inny...

Mama przed moim przyjściem na świat również miała ambicje. Chciała zostać aktorką. Były to oczywiście jedynie marzenia, ponieważ już dawno została matką. Lepiej się czuła w domu, niż przed setkami oklaskujących ludzi. Tata dawał mamie wolną rękę i jakkolwiek mogłaby być nawet wielką aktorką, to jednak nigdy nie naciskał i szanował jej postanowienie, że będzie zwykłą panią naszego domu. Dawało jej to wiele satysfakcji i napełniało życie sensem.

– Moim zadaniem jest wychować syna – mówiła.
– W tym się spełniam. Nie mam już innych ambicji. Wystarczy mi to co mam. Wy. Moją sceną jest dom.

Nasze życie upływało szybko i przyjemnie. Gnało do przodu niczym wiatr, nie zatrzymywało się nawet na chwilę. No, może z wyjątkiem wakacji, kiedy to w spokoju spędzaliśmy razem długie letnie dni i leniwe noce.